

## NIEUDANA UCIECZKA PRZED SACRUM

J. Lubelski, *Ssanie. Głód sacrum w literaturze polskiej*, „Teologia Polityczna”, Warszawa 2015, ss. 274.

Od sacrum w literaturze polskiej nie da się uciec. Taka właśnie idea przewodnia towarzyszy czytelnikowi najnowszej książki młodego prozaika i publicysty Jakuba Lubelskiego „Ssanie. Głód sacrum w literaturze polskiej”. Pojęcie „sacrum” coraz częściej pojawia się w obrębie nauk humanistycznych i oznacza, w przypadku działalności literackiej, bliżej nieokreślony, absolutny horyzont, który jest punktem odniesienia dla wszystkich twórców, którzy chcą, czy muszą raczej wierzyć, iż ich twórczość do czegoś się odnosi, o czymś istotnym mówi, a nie jest głosem w pustce. Oczywiście skala intensywności, z jaką sacrum może przejawiać się w literaturze, jest różnorodna - od wyraźnego oczekiwania na dopełnienie płynące ze strony sacrum, poprzez opis braku i pustki, który jest wołaniem o sacrum, po ledwie zauważalne, delikatne drgnienia uczuć, które tylko dla uważnego obserwatora znajdują się na skali sacrum. Istnieje oczywiście liczna grupa krytyków, którzy wytykają rozmytość i nieokreśloność pojęcia sacrum, a przez to jego nieoperatywność i nienaukowość. Krytycy bliscy teologii katolickiej będą widzieć w tym pojęciu zagrożenia dla pojęcia Boga i niebezpieczeństwo przeniesienia ciężaru zainteresowania badaczy z określonej osobowej koncepcji Boga na bliżej nieokreślone pojęcie sacrum.

Jakub Lubelski nie jest zainteresowany tymi teoretycznym sporami, nie odnosi się do nich. Skupia się na analizie literackiej, która prowadzi go do tematyki sacrum u wybranych pisarzy. To dopuszczalna strategia, zwłaszcza, że prowadzi do interesujących spostrzeżeń i pozwala spojrzeć na twórczość znanych autorów z innej trochę perspektywy, głębiej, poważniej, pełniej. To wielka zasługa książki Lubelskiego. Z dzieł uznanych twórców autor „Ssania” wydobywa nowe treści, akcentuje przemilczane wątki, poszerza ustalone interpretacje, przez co na nowo niejako włącza owe dzieła do współczesnych debat związanych choćby z podejściem postsekularnym. Jego praca to także ważne dzieło dla teologii kultury, młodej w Polsce perspektywy badawczej, która tropi przejawy obecności objawienia Bożego w dziełach kultury.

Czymże jednak jest owo „ssanie”, które Lubelski zawarł w tytule książki? To wedle niego naturalny dla twórcy odruch, niczym ssanie mleka matki dla niemowlęcia, dzięki któremu pisarze tworząc, „zasysają transcendencję” i, co istotne, odbywa się to w sposób zupełnie naturalny, niejako automatyczny, a to z tej głównie racji, iż zdaniem autora ( idącego w tym miejscu za całym szeregiem innych interpretatorów) sztuka, gest twórczy, kreacja są z natury religijne. Przywoływana przez autora na wstępie Simone Weil pisała: „We wszyst-

kim, co budzi w nas czyste i autentyczne poczucie piękna, Bóg jest rzeczywiście obecny. Istnieje coś, jak gdyby wcielenie Boga w świat, piękno jest Jego znakiem”. (s. 17).

Najpełniej metaforę „ssania” można zrozumieć przez odniesienie jej do pojęcia „nienasyceń”, którego używał jako swego technicznego terminu Witkacy. W jego interpretacji każdy człowiek jako istnienie poszczególne odczuwa metafizyczne nienasyceń samym sobą, swoim istnieniem. Uczucie to jest wpisane w ludzką naturę i odpowiedzią na nie było powstanie religii, sztuki i filozofii. W obliczu upadku tych trzech rzeczywistości, który wieszczyl Witkacy-katastrofista owo uczucie metafizyczne nie ma swego naturalnego ujścia, co skazuje człowieka na nieznanne cierpienia. Nienasyceń staje się tak wielkie, iż wymaga nieustannego zapełniania pustki, którą wywołuje we „wnętrznosciach” człowieka. Najpowszechniejszymi formami jej zapychania stały się zdaniem Witkacego różnego rodzaju używki: narkotyki, alkohol, tytoń, a także masowa rozrywka czy seks. Witkacy, tragiczny świadek śmierci Boga, doskonale wyczuwał najgłębsze konsekwencje tego faktu. W „Nienasyceń” pisał: „Bo cóż jest straszniejszego jak ta godzina od drugiej do trzeciej po południu, kiedy nie ukryć przed sobą nie można i naga okropność metafizyczna przebija jak kiel zwaliska codziennych złud, którymi staramy się zabić bezsens życia bez wiary”.

Zasysanie transcendencji występuje też, jak przekonuje Lubelski, w twórczości Witolda Gombrowicza, którego stosunek do wiary i Boga był dalece bardziej zniuansowany, niż dotąd uznawano. „Gombrowicz zasysa tylko wtedy, kiedy nie widać i nie słycać, kiedy nie będzie komedii i kompromitacji”. (s. 103). Lubelski nie zgadza się więc ze zdaniem Jerzego Jarzębskiego, iż Gombrowicz w młodość „rozstał się” ostatecznie z Bogiem. Przeczy temu nie tylko zainteresowanie Gombrowicza sprawami wiary czy sytuacją Kościoła, ale przede wszystkim pewne wątki, które pojawiają się w jego „Dziennikach” i dwóch ostatnich powieściach. W „Dziennikach” pisał: „Nie róbcie ze mnie taniego demona. Ja będę po stronie porządku ludzkiego (i nawet po stronie Boga, choć nie wierzę), aż do końca moich dni; także umierając”. W innym miejscu stwierdza: „(...) czy ja, będąc pozbawiony Boga, jestem wskutek tego bliższy, czy dalszy natury? Odpowiedź: jestem dalszy”. Coś jednak ewidentnie Gombrowiczowi przeszkadza w uczynieniu wyraźnego kroku w stronę Boga. W ostatniej chwili ucieka zawsze w kpinę, robi unik, „spuszcza powietrze”, by nie musieć poczynić wyraźnej deklaracji. Tym, co mu przeszkadza, jest pragnienie bycia oryginalnym, pragnienie przeżożne, zniewalające, nie pozwalające mu odczuwać i myśleć o tym, co już zostało powiedziane i zapisane, niejedną przecież raz. Nawet jednak ten lęk przez brakiem oryginalności nie ustrzegł Gombrowicza przez ssaniem. Jeden z bohaterów „Pornografii” mówi: „Wie Pan, ja właściwie, nie wierzę w Boga. Moja matka była wierząca, ja nie. Ale ja chcę, żeby Bóg istniał. Chcę - to ważniejsze, niż gdybym tylko był o jego istnieniu przekonany”. Co ważne, Lubelski nie chrzci Gombrowicza, nie uznaje go za ukrytego katolika czy wierzącego, tropi jednak te momenty, kiedy autor „Ferdynurka” na chwilę robi szczelinę w swym pancerzu i stawia przed sobą teologiczne pytania. Nieważne przy tym, czy jego odpowiedzi mieszczą się w łonie jakiejś ortodoksji, wielka literatura może być też świadectwem heretyckiej transcendencji, ale zawsze jest wyrazem owego fundamentalnego ssania, które każe akt twórczy konstruować wobec czegoś ostatecznego, czegoś, z czym można się spierać i walczyć o swoją oryginalność. Czegoś istniejącego.

W innych esejach Lubelski równie inspirująco rekonstruuje owo sakralne ssanie twórców takich jak Stanisław Brzozowski, Bruno Schultz, Józef Mickiewicz, Andrzej Bobkowiński, Zygmunt Haupt, Leopold Tyrmand, Antoni Libera, Jerzy Pilch i Szczepan Twardoch. Na żywiole literackim praca Lubelskiego się jednak nie kończy. Jego „Ssanie” to przede wszystkim bardzo śmiała i udana próba pokazania, iż nie tylko lewica ma mandat do posługiwania się określeniem „krytyka”, że do „krytyki” mają też prawo środowiska konserwatywne, które ostatnimi laty oddały niestety pola skupiając się na zwykłej publicystyce, a nie wchodzeniu w obszar kultury, by odzyskać go dla konstrukcji własnej wizji świata. Zanedbanie to poskutkowało tym, iż za krytyczne (lepsze, dojrzałsze) uznajemy dziś, zdaniem Lubelskiego, poglądy lewicowe, a konserwatyzm jawi się tylko jako bierne trzymanie się przeszłości i lęk przed zmianami. Tymczasem Lubelski fenomenalnie „odbija” lewicy Brzozowskiego czy Gombrowicza, wskazując na teologiczny potencjał ich twórczości, który dotąd z racji przyjmowanej perspektywy był bardzo często pomijany. I w tym sensie jest to gorąca książka polityczna. ■

**Bartosz Wieczorek**